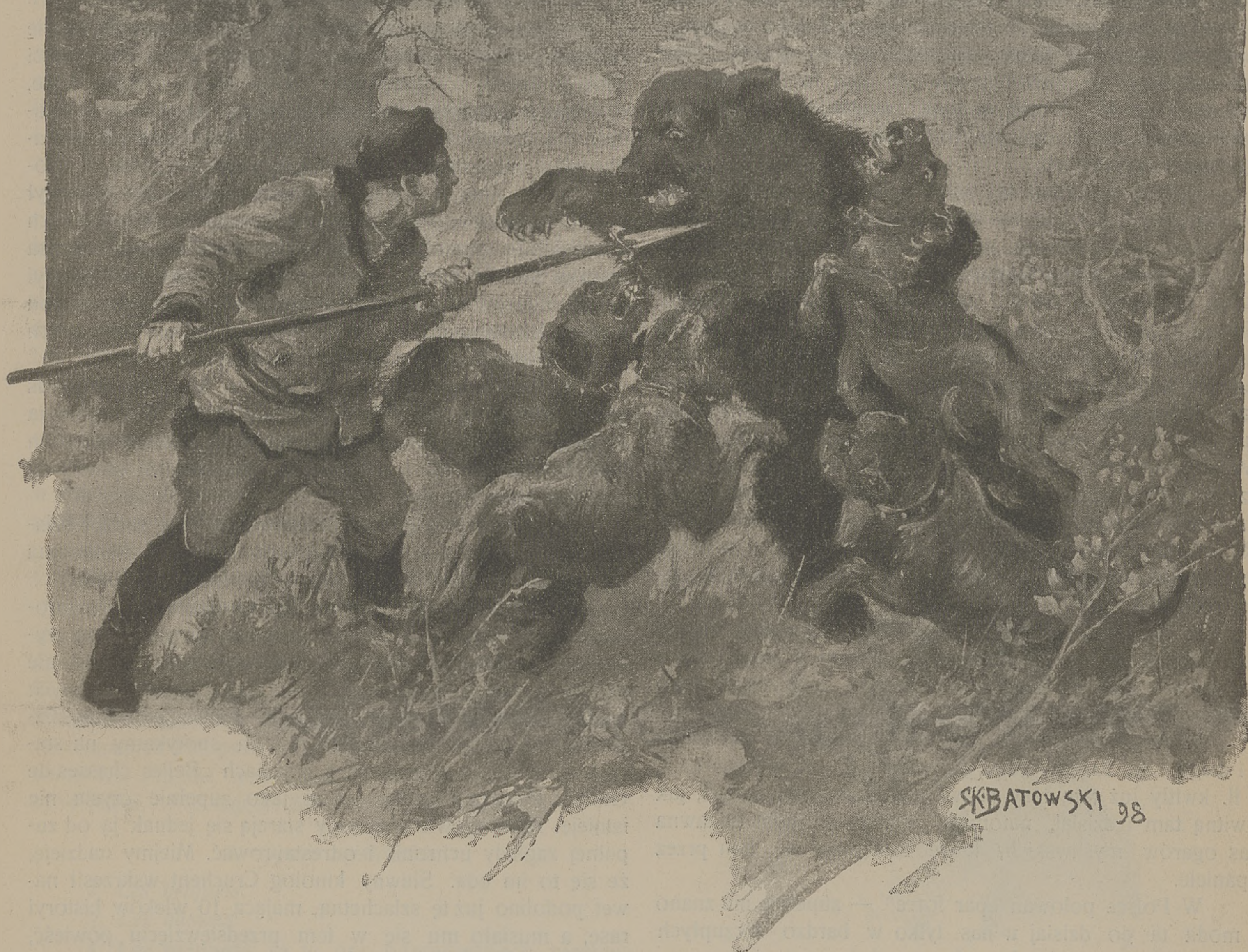
Nr. 19. Lwów, 1. paźddziernika 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

PIES GOŃCZY

(OGAR)

przez **ALBERTA MNISZKA.**

Pod powyższą nazwą rozumiemy wszystkie rasy psów myśliwskich, których praca na terenie łowieckim polega na gonieniu zwierzyny po jej tropach, a więc za pomocą zmysłu powonienia (wiatru). Psy gończe są też założycielami wszystkich ras innych psów myśliwskich, szukających zwierzyny za pomocą wiatru, w pierwszym więc rzędzie wyżłów.

Ze stanowiska praktycznego dzielimy psy gończe na dwie grupy t. j. na 1) psy gończe „par force" i 2) na psy gończe myśliwskie w polskiem znaczeniu: ogary (Bracken). Pierwsze gonią zwierzynę, na której trop je puszczono przed jeźdźcami tak długo, póki ta ze zmęczenia nie padnie, drugie służą do gonienia zwierza w lasach i krzakach i napędzają go na myśliwych, stojących z bronią w ręku na przesmykach.

Ze stanowiska etnograficznego dzielą się psy gończe czyli ogary na dwa odmienne typy, zachodni i wschodni. Zachodni typ wyprodukowały ludy romańskie, germańskie i celtyckie, gdy typ wschodni jest produktem ludów słowiańskich i azyatyckich. Te dwa typy bardzo od siebie się różnią. Wschodnie ogary mają głowę małą, pysk wydłużony, jakoby wilczy, uszy zwisłe i krótkie, wysoko osadzone, ogon krótki i zakręcony, na końcu zwykle biały, nogi przednie wyższe od tylnych, sierć ich jest krótką, na zimę pokrywa się ona jednak ciepłym, kręconym włosem. Maść ich jest przeważnie czarną podpalaną, a ta podpalenizna nie jest ściśle odgraniczoną i jest barwy jasnożółtej, zlewającej się

z kolorem burych, dłuższych, rzadkich, pokrywających cały korpus włosów. Ogary zachodnie są rosłe, czarne, pomarańczowo podpalane, ciemno-żołte albo srokate, o wielkich głowach, grubym pysku, długich zwieszających się uszach.

Początek psów gończych sięga bardzo dawnych czasów. Znali je już Grecy i Rzymianie. Germanie polowali z nimi w ten sposób, że puszczali je do kniei a przesmyki zakładali siećmi, w które uciekający zwierz wpadał. Z czasem utworzył się sposób polowania „par force“ obok dawnego z siecią i bronią i ludy zaczęły według potrzeb produkować obok ogarów myśliwskich także rasy psów gończych sportowych.

Chwila, w której te ostatnie weszły w użycie jest bardzo dawną i zdaje się, że psy te ujrzały światło dzienne najpierw we Francyi. W prawodawstwie salijskich Franków, w wieku 6-tym spotykamy już wzmianki o polowaniach na jelenia i odyńca przy pomocy psów gończych. Stare kroniki francuskie wspominają o łowach z ogarami na żubry za czasów Childeberta II. i Karola Wielkiego. Ludwik Święty sprowadził ogary ze wschodu i założył rasy, które jeszcze dzisiaj we Francyi jego miano noszą lub zwą się rasami królewskiemi (Races royales). Polowania „par force“ we Francyi doszły do wielkiego znaczenia i byly urządzane z niesłychanym splendorem za czasów ostatnich Ludwików a szczególnie za Ludwika XIV. Rewolucya zburzyła jednak te świetne tradycye i zwyczaje myśliwskie, które wskrzesił napowrót w ograniczonych rozmiarach Napoleon I.

W Niemczech w wiekach średnich nieznano prawie tego sportu, który tam dopiero z końcem 17-tego wieku wszedł w modę po drodze z Francyi, a używano tylko ogarów myśliwskich.

W Anglii polują już „par force“ począwszy od wieku 11-stego. Za królów Jana, Edwarda I. i II. i Henryka I. i II. kwitły już tam rasy psów gończych „par force“, jak kwitną tam i dzisiaj, natomiast niema w Anglii oddawna ras ogarów myśliwskich, które zastępują się tam przez spaniele.

W Polsce polowań „par force“ — zupełnie nie znano i moda ta do dzisiaj u nas tylko w bardzo szczupłych zaszczepiła się granicach, polowano dużo natomiast z ogarami myśliwskimi w naszych bezbrzeżnych, mazowieckich i litewskich puszczach a chart i sokół zastępował u nas psy sportowe. Do łowów w kniejach używano u nas ogarów częścią zachodniego, częścią wschodniego typu.

Ogary, podobnie jak charty są ściśle związane z narodami, które je wyprodukowały, dzielić je więc możemy na rasy tylko ze stanowiska etnograficznego, a zaczniemy ten podział od najstarszych i najszlachetniejszych, jakiemi są rasy francuskie.

Typ zachodni.

Rasy francuskie.

(Les chiens courants).

a) Psy gończe „par force“ (Chiens de grand equipage)
b) Ogary myśliwskie (Chiens de petit equipage

---

a) Psy gończe „par force“ dzielą się na rasy:

1. Chiens de St. Hubert
2. Grands chiens blancs
3. Chiens fauves de Bretagne
4. Chiens de St. Louis

} races royales. (rasy królewskie).

5. Chiens de Gascogne
6. „ de Normandie
7. „ de Saintonge
8. „ de Poitou
9. „ de Bresse
10. „ Greffiers de Vendée
11. Chiens d'Artois

} rasy powstałe z ras królewskich przez krzyżowanie.

1. Psy gończe św. Huberta miały w 8 wieku dwie odmiany, białą i czarną. Później były one tylko maści lśniąco czarnej z podpałami. Były to psy rosłe, silne, o wielkich głowach, grubych pyskach, długich zwieszających się uszach. Były wysoko cenione, używane w forsowaniu jeleni, nadzwyczajnie cięte i wytrwałe w gonie, w którym miały silny i dźwięczny głos. Ludwik XII. stworzył z nich osobną rasę „Greffier's“ przez krzyżowanie ich z włoskimi ogarami. Ta najstarsza i najszlachetniejsza rasa ogarów Św. Huberta należy dziś już tylko do historyi a egzystuje jeszcze w Anglii, częściowo przekształcona pod nazwą „Bloodhound“ o czem, pisząc o rasach angielskich psów gończych jeszcze mówić będziemy.

2. Krótkowłose psy gończe z Vendée (Grands chiens blancs du roi). Pochodzą od psów Św. Huberta z czasów Karola IX, są maści białej o uszach cienkich i bardzo długich. W r. 1873 było jeszcze 15 gniazd tej rasy we Francyi.

3. Płowe psy gończe bretońskie. Rasa stara i szlachetna, do dziś w szczątkach swych istniejąca, obdarzona niesłychanym wiatrem i wielką wytrwałością w gonie.

4. Popielate psy gończe Św. Ludwika. Psy te sprowadził król Ludwik Święty ze wschodu po powrocie z wyprawy krzyżowej; są one maści czerwonawo-popielatej, nie bardzo foremnie zbudowane, o bardzo długich obwisłych uszach. Jestto rasa psów gończych bezwzględnie najszlachetniejsza na świecie. Podobizny ich spotykamy na starych francuskich gobelinach i sztychach „Belles chasses de Guise“. Rasa ta niestety dzisiaj jako zupełnie czysta nie istnieje. Kinologowie francuscy starają się jednak ją od zupełnej zagłady uchronić i odrestaurować. Miejmy nadzieję, że się to im uda. Sławny kinolog Cruchent wskrzesił nawet podobno już tę szlachetną, mającą 10 wieków historyi rasę, a musiało mu się w tem przedsięwzięciu powieść, jeżeli jego psy Św. Ludwika na ostatniej wystawie paryskiej zostały odznaczone przez Jury.

Te powyższe rasy zowią się królewskiemi, a następne są później powstałe i od królewskich przez krzyżowanie pochodzące.

5. Psy gończe gaskońskie są rasą pochodzącą prawdopodobnie od rasy św. Huberta, w każdym razie starą, gdyż dobrze już znaną za Henryka IV. Są one maści, której tło jest białem, nakrapianem gęsto ciemno-niebieskiemi kropkami, i ubrane wielkiemi czarnemi o szafirowym połysku płatkami. Są to psy bardzo rosłe, o bardzo długich uszach i cienkich lekko wygiętych ogonach. Wspaniałe te ogary egzystują do dziś dnia we Francyi i są jedną z najwięcej ulubionych ras przez tamtejszych sportsmenów.

6. Psy gończe normandzkie. Pierwszą wzmiankę o tych psach mamy dopiero z czasów Ludwika XIV., który chcąc zmniejszyć szybkość swoich psów, skrzyżował je z psami normandzkimi. Rasa ta niedawno została krwią angielską odświeżoną i jako taka jest znaną pod nazwą: Les Batards anglo-normands. Są one do 78 cm. wysokie, o długich ale muskularnych tułowiach, wysokich nogach, lekkich głowach, długich zwieszających się uszach, maść ich jest biała z żółtymi i czarnymi płatami.

7. Psy gończe Saintonge, rasa której początek sięga czasów wielkiej rewolucyi, jako czysta, dziś nie istnieje ale z krwią angielską zmieszana znaną jest pod nazwą: Les batards Anglo-Saintongeois. Są to psy rosłe, podobne budową i maścią do poprzednich.

8. Psy gończe z Poitou również do tamtych dwóch ras podobne a różnią się tem od nich, że gdy tamte przy maści białej w żółte i czarne płaty mają uszy czarne, te mają uszy żółte, a na grzbietach czarne siodełka, sięgające aż do ogona. Ludwik XVI. polował z tymi psami na wilki. Dzisiaj również i ta rasa została skrzyżowaną z angielską i nazywa się: Les Batards de Haut-Poitou.

9. Psy gończe z Bresse. Kudłate, są jedną z najstarszych ras ogarów francuskich.

10. Psy gończe ostrowłose de Vendée. (Griffons de Vendée) maści biało-żołtej, bardzo dawnego pochodzenia, prawdopodobnie od psów gończych św. Ludwika, są to jedne z najlepszych ogarów sportowych we Francyi. Rosłe, silne, muskularne, średnio-szybkie, niezmęczone, niepospolitej odwagi i zaciętości, są ulubieńcami francuskich sportsmenów.

11. Psy gończe z Artois, mniejsze znacznie od poprzednich lecz grube i muskularne, używane były do niedawna jako ogary myśliwskie w polowaniach na zające w Pikardyi, dziś służą i sportowi. Rasa to stara, prawdopodobnie z czasów Henryka IV. pochodząca.

Powyższe rasy psów gończych „par force" kwitną we Francyi do dzisiaj.

W polowaniach tego rodzaju Francuzi przodowali wszystkim innym narodom przez wiele wieków, a z niedawno wydanego ślicznego dzieła p. t.: „Manuel de Venerie française", którego autorem jest znany sportsman Hr. Le Couteulx de Canteleu widzimy, że dzisiaj we Francyi egzystuje znanych 271 psiarni „par force". W roku 1889 sforsowano we Francyi tymi psami 236 wilków, 1742 dzików, 1254 jeleni, 1818 zajęcy, 504 lisów i 30 wydr.

b) Ogary myśliwskie.

1. Les briquets.
2. Les bassets.

1. Les briquets, są to psy odpowiadające niemieckim „Bracken"; są maści czarno żółtej. Ogary myśliwskie w tem znaczeniu co u nas są już dzisiaj we Francyi prawie nie używane a i dawniej mało z nimi tam polowano. Myśliwi zaliczają często do briquetów ostatnio wymienioną rasę psów gończych sportowych „d'Artois", którą także: „Les chiens briquets d'Artois" nazywają. Do briquetów należą jeszcze tak zw. „Chiens de porcelaine" (psy porcelanowe). Rasa maści biało-żółtej pochodząca z wieku 18-tego. Są to ładne małe pieski, używane do zajęcy, królików i lisów. Rasa ta bardzo rozpowszechniona, także rasą „de Lunéville" zwana, została w kilku swoich indywiduach na wystawie paryskiej w r. 1889 nagrodzoną.

2. Les bassets czyli jamniki, z którymi we Francyi i na króliki polują. O tej rasie pisaliśmy w artykule p. t. „Jamnik".

Rasy angielskie.

W Anglii są tylko psy gończe „par force" — ogarów myśliwskich zupełnie niema. Do pierwszych zaliczają się:

1. The Bloodhound.
2. The Otterhound.
3. The Staghound.
4. The Foxhound.
5. The Harrier.
6. The Beagle.

1. The Bloodhound. Psy te pochodzą, jak już wiemy od czarnych psów gończych, francuskich św. Huberta, które już Normanowie przywieźli do Anglii, a które tam przez rozmaite krzyżowania otrzymały te niesłychanie oryginalne fałdowane, o bardzo obwisłych górnych wargach głowy, które je różnią od wszystkich innych ras na świecie. Psy te św. Huberta, białe i czarne sprowadziła ongi raz do Anglii królowa Elżbieta, później Jakób II., chcąc nimi rasy swoje odświeżyć. Z białych powstały Talbot'y, używane do ścigania złoczyńców, rasa dziś już nie istniejąca, z czarnych zaś dzisiejsze bloodhoundy, (krwawe psy).

Bloodhound mało się różni zewnętrznie od swego francuskiego protoplasty, jedynie wspaniałą głowę tamtego potrafili Anglicy uczynić jeszcze wspanialszą, szlachetniejszą, dumną, jakby z ciężkiego granitu wykutą. Maść jego jest czarną, lub czarno podpalaną. Przeznaczeniem tego psa były dawniej łowy na jelenia, dziś niestety myśliwskiego znaczenia on już niema, a służy tylko w roli towarzysza i stróża domu i jako taki dzięki swej inteligencyi, wierności i czujności jest w swej ojczyźnie bardzo cenionym. Jestto bezwzględnie egzemplarz imponujący oryginalnością swych form zewnętrznych, najwięcej ze wszystkich ras psów na świecie i dlatego podajemy tutaj jego podobiznę.



W ostatnich czasach próbowano bloodhoundy zaprawiać do tropienia ludzi. Zachętę do tego dały liczne mordy, urządzane przez często nie wykrywanych sprawców w Londynie. Niedawno zrobiono tam próbę w Regents parku, która się świetnie powiodła. Puszczono dwa psy na tropy dwóch ludzi, którzy przed półgodziną tamtędy szli. Mimo, że w tym czasie inni tamtędy przechodzili, psy ich natychmiast dogoniły. W kilka dni później powtórzono próbę wśród gęstej śnieżycy i ta również znakomicie wypadła. Niesłychane wrażenie na widzach zrobił szczególnie jeden pies, który goniąc za tropem zbiega, przez płoty i parkany przeskakiwał, lub popod nie się przeczołgiwał, według tego, jak udający zbiega przed pół godziną również w oczach widzów to czynił. Dzięki więc niesłychanie rozwiniętemu zmysłowi powonienia, psy te są znakomitymi stróżami i w tej głównie roli w swej ojczyźnie służą.

(D. n.)



NA WABIA.

Napisał A. hr. SUMIŃSKI.

Niema polowania, któreby dla myśliwego nie miało uroku, każde w swoim rodzaju ma inne zalety, dobre i złe strony. Złe, może nie dobrze się wyraziłem, bo tych właściwie polowanie nie ma, tylko są czasami trudy i zawody. Ale gdzież tych nie ma? Może właśnie dlatego, że te dwa czynniki tak często występują w życiu myśliwskiem, knieja ma dla niego podwójny urok. Nie to nęci, co łatwo i bez zachodu, że tak się wyrażę, samo nam w ręce lezie, lecz właśnie trudne i często niedoścignione ideały są celem człowieka.

Czy znasz czytelniku szanowny polowanie na wabia? Sarna, gdy głos wydaje, myka lub mikota, stąd wabik na sarny nazwany jest mikotem. Jest to odrębne, ale nadzwyczaj zajmujące zetknięcie się z rodem sarnim, uprawiane mało gdzie u nas, mimo tego, że jest to może jedyna pewna droga do starych, mądrych rogaczy, szczególniej tam, gdzie podchodzić lub podjeżdżać się nie da, a więc przedewszystkiem w terenie trudnym i niedostępnym. — Kiedy przed laty jeszcze sprawiłem wabia nadzwyczaj zachwalanego, obiecywałem sobie złote góry, a raczej nadzwyczajne spotkanie, wyćwiczywszy się zaś w domu według wskazówek dołączonych do wabika, ruszyłem do kniei, pełen tak zwodnych, niestety nadziei. Próbowałem szczęścia w różnych miejscach, lecz o dziwo, ani jedna sarna nie zjawiała się na moje wezwanie. Zdawało mi się, że jestem wirtuozem na tym instrumencie i nie pojmowałem, czemu przypisać takie twarde niepowodzenie. Pewnego dnia widząc sarny na zrębie, postanowiłem zbadać i wysądować naocznie skutki mojej muzyki. Rozpocząłem wabienie najpierw cicho, później głośniej, coraz odważniej i o dziwo! Sarny, które przy pierwszych tonach uniósłszy łby w górę, ciekawie spoglądały w moją stronę, ruszyły raptem z kopyta, salwując się w gąszcze, i to nietylko te, które bliżej mnie stały, ale i dalsze, tak, że zrąb opustoszał w jednej chwili. Innemi słowy, zamiast przywabić, wypędziłem wszystko za dziesiątą granicę. Więc cóż to znaczy, cóż to za wabik gałgański? Oj nie wabik, nie wabik, ale wabiący winien. W moim wabiku znajdował się języczek metalowy, pod który ślina z łatwością się dostawszy, sprawiała tony straszne i te były powodem niepowodzenia w kniei. Nie tak to łatwo naśladować głos sarny, jak się zdaje, często człowiek przekonany, że wabi pysznie, tymczasem dla sarn są to straszne dysonansy. Ażeby wogóle głos sarny wiernie naśladować, trzeba go słyszeć w kniei i to nie jeden raz. Są tacy, którzy na zwykłej trawce lub liściu wabią doskonale, inni na mikocie znakomicie. Nie tak to znowu nadzwyczajnie trudno słyszeć głos sarny, prześladowanej przez rogacza, ale trzeba w czasie rui często bywać w lesie. W godzinach rannych między 8 a 10, później pod wieczór między czwartą a szóstą, choć godziny te nie są urzędowemi, zależy to tylko od zwyczaju w odpowiedniej kniei, no i od spokoju w tejże. Gdy ruja w pełnym toku, spotkać można o każdej porze dnia gony miłosne. Stosunkowo najczęściej słychać głos kozy, podczas tak zwanej rui pozornej z początkiem lata, ponieważ koza młódka nietylko goniona przez rogacza, bojąc się go myka, ale po raz pierwszy stanowiona, wydaje głos narzekający, co Niemcy nazywają „Angstgeschrei“. Ten to głos naśladowany mikotem, zwabia każdego rogacza, jeżeli jest naturalny.

W wieku wynalazków jesteśmy już tak daleko, że posiadamy nawet wabie automatyczne; myślę o wynalazku Buttola, który rzeczywiście jest znakomity. Kiedy po pierwszych moich próbach polowania z wabikiem, doszedłem do przekonania, że niemam do tego talentu, przestałem uprawiać ten sport. W ostatnich czasach spotykałem się wciąż z artykułami w niemieckich gazetach, w których opisują nadzwyczajne powodzenie na polowaniach z mikotem. To zachęciło mnie do ponownej próby, tem bardziej, że słyszałem już o wspomnianym wabiu automatycznym Buttola. Za pociśnięciem balonika gumowego palcami, głosy wychodzą przepysznie, a więc bez trudu i mozołów, rzeczywiście automatycznie. Ruszyłem z nim do kniei, co prawda niedowierzająco, ale tym razem zdumiony byłem powodzeniem. Najpierw spróbowałem instrumentu na rogaczu, który pasł się pod wieczór i sprowadziłem go sobie pod nogi. Nazajutrz usiadłszy pod gąszczami, zacząłem wabić. Zaledwie kilka pociśnień na baloniku zrobiłem, a już z gąszczów wypada na mnie koza pełnym galopem, zatrzymując się zaledwie na 3 kroki. Beknąwszy kilka razy, odskoczyła napowrót w gąszcze. Za chwilę znów począłem muzykować i ta sama zdaje się koza wyszła na mnie, którą powstawszy z miejsca odpędziłem po prostu od siebie, rzucając w jej stronę bryłkami. Po 10 minutach spokojnego zachowania wabię i znów natrętna koza przychodzi. Znudziło mnie to, poszedłem więc gdzieindziej. Ulokowałem się w krzaczkach na polu, które dokoła otoczone jest lasem. Począłem wabić i jakież moje było zdumienie, gdy na wszystkie strony z lasu ukazywały się sarny. Jedna koza z młodem przyszła mi pod nogi, rogacz przybiegł do mnie w pełnym pędzie na 20 kroków, inna koza przyszła z tyłu, słowem wabik mi zaimponował nie lada.

Tu jednak zaznaczyć trzeba, że myśliwy polujący z wabikiem, musi strzelać kulą dobrze, bo nieraz i zwykle zdarza się, że na strzał dyablo mało jest czasu. Zjawia się on, jak duch, lecz i znika jak duch. Zwyczajnie przychodzi w pełnym galopie, bardzo ostrożnie podkrada się i powoli, zawsze jednak. zobaczywszy pomyłkę, zmiata co może, jak niepyszny i wtedy o celny strzał kulą nie łatwo. Niektórzy pomagają sobie w ten sposób, że okrążają umyślnie stanowisko, na jakich 30 do 50 kroków tak, że jak rogacz w pędzie z głową w dole wietrząc, wypadnie na świeży trop człowieka, przystaje i to jest chwila do strzału. Rogacz oszukany zwyczajnie uszedłszy 30, 40 kroków, staje zdumiony, becząc donośnie i wtedy również strzelić można, choć na dalszą już odległość, jeżeli nie stanie niefortunnie. Gdy gąszcze, to naturalnie, że bieda.

Czas polowania z mikotem najodpowiedniejszy, to miesiąc sierpień, choć uprawiać go można ze skutkiem przez całe lato. Najtrudniejsza w tej sprawie rzecz, to wybór stanowiska, by nie być spostrzeżonym, a samemu widzieć, jak najdalej. Dzień pogodny nadaje się najlepiej do tego i bez wiatru, bo ten bardzo przeszkadza.

W lasku gminnym wiedziałem o bardzo dobrym rogaczu, który tak był przemądrzały, że nie wychodził, jak tylko bardzo późno i absolutnie na strzał spotkać się z nim nie mogłem. Wyruszyłem tedy wieczorem z wabikiem na niego. Na polach koło lasku ludzie ze wszystkich stron prawie, na miedzach zaś bydło, jak zwykle na gminnem, upał dotkliwy, nadzieje moje bardzo słabe. Mimo tego wszystkiego dźwięki mojej muzyki tak trafiły w serce rozkochanego, że po kilku minutach wabienia zjawił się przedemną na 34 kroków ten ostrożny mądrala. Jest to dla mnie największy z tryumfów dotychczasowego polowania z mikotem, zarazem dowód doskonałości wynalazku.

L. 15958/904 Stary Sambor, dnia 22 sierpnia 1904.

Okólnik

do Zwierzchności gminnych, przełożeństw obszarów dworskich, właścicieli samoistnych polowań i dzierżawców prawa polowań gminnych w powiecie.

Okólnikiem tutejszym z dnia 22 marca 1904. L. 1854 zwróciłem uwagę, że nie wszyscy właściciele i dzierżawcy prawa polowania w tut. powiecie, prawo to osobiście wykonujący, są w posiadaniu kart myśliwskich, przepisanych §. 80 ust. łowieckiej z dnia 5 marca 1897 Dz. ust. kraj. Nr. 71.

Wskutek reskryptu c. k. Namiestnictwa z dnia 13-go sierpnia 1904 L. 108.358 zwracam ponownie uwagę wszystkich, wykonujących osobiście prawo polowania, oraz wszystkich myśliwych w powiecie, że wykonywanie polowania bez karty myśliwskiej, pociąga za sobą przykre następstwa określone dokładnie §. 73 cytowanej ustawy.

Doszło również do mojej wiadomości że niektórzy myśliwi nie przestrzegają przepisów zawartych w §. 33 ustawy łowieckiej o czasie ochronnym dla zwierzyny, przeto we własnym interesie p. p. myśliwych zwracam uwagę na przepisy tego paragrafu i zalecam do tychże ściśle się zastosować.

Celem zapobieżenia kłusownictwu upraszam wszystkich p. t. myśliwych w powiecie, oraz wzywam Zwierzchności gminne i obszary dworskie aby nietylko śledzili bacznie kłusowników i w razie zachodzących poszlak przekroczenia ustawy karnej zawiadamiali o tem bezzwłocznie c. k. Starostwo, lub oddawali ich właściwemu sądowi do ukarania, lecz ponadto śledzili za miejscami zbytu nieprawnie nabytej zwierzyny, względnie za handlarzami, którzy często bez względu na czas ochronny przez cały rok uprawiają niedozwoloną sprzedaż zwierzyny łownej, nabytej za bezcen u kłusowników.

Takich to pokątnych handlarzy nie brak w tutejszym powiecie, po wsiach i miasteczkach i ci wyrządzają łowiectwu pośrednio szkodę, należy ich przeto bezwzględnie c. k. Starostwu donosić.

Również bardzo często p. p. myśliwi, Zwierzchności gminne i obszary dworskie a zwłaszcza organy bezpieczeństwa znajdą się w położeniu zakwestyonowania u handlarzy domokrążnych zakupionych skórek z zajęcy, saren, lisów, kun i t. p. oraz rogów jeleni i rogaczy a takie „corpora delicti“ przy dobrej chęci i energii naprowadzić mogą łatwo na ślad bezkarnie uchodzącego kłusownika.

Ważnym również czynnikiem przeciw kłusownictwu jest dobór straży łowieckiej i w tym kierunku zalecam wszystkim właścicielom i dzierżawcom prawa polowania, aby tylko pewnych i wypróbowanych ludzi na dozorców polowania wybierali a tam gdzie się okaże potrzeba powiększenia liczby straży łowieckiej, straż tę w jak najkrótszym czasie pomnożyli.

Wreszcie wiele szkody w zwierzostanie wyrządzają obok kotów także włóczące się psy, polecam przeto Zwierzchnościom gminnym i panom przełożonym obszaru dworskiego, aby wezwali właścicieli psów, by ich samopas w pola i lasy nie puszczali, gdyż w warunkach przewidzianych w §. 43 ustawy łowieckiej, psy takie mogą być bezkarnie przez uprawnionych do polowań, lub straż łowiecką zabijane.

W końcu przypominam postanowienia §. §. 46 i 47 ust. łowieckiej i wzywam pt. uprawnionych do polowań, aby szkodliwą dla zwierzostanu zwierzynę, oraz szkodliwe dla ziemiopłodów dziki energicznie tępili.

C. k. Starosta Ricci m. p.

Łowy na szkockie pardwy (grouses) z psami.

(Z angielskiego).

W pojęciu myśliwskiem wyrażenie „polowanie na grausy z psami“ nasuwa na myśl tylko dwie rasy: pointery i settery.

Nie myśliwy może wyobrażać sobie, że w tem znaczeniu są psami również retriewery i spaniele, tak jednak nie jest. Gdyby było przeciwnie, nie polowałoby się inaczej jak z psami, gdyż prawdziwe retriewery są zawsze pod ręką, choć zachodzi brak pointerów i setterów.

Jeden ze współczesnych, sportowych tygodników stwierdził, że wskrzeszenie łowów z psami było nie tylko pożądane ze względu na liczne stada pardew, lecz że stało się faktem dokonanym.

Pierwsze twierdzenie jest słusznem, drugie zaś nie jest niem stanowczo. Autor popełnił błąd sądząc, że psy się wyczerpały, względnie, że się wyczerpią.

Mamy polowania na pardwy z psami na błotach, i polowania z nagonką z tych samych motywów, dla których istnieją amotorowie cienkiego piwa i cierpkiego szampana.

Inaczej mówiąc, gdy jedno jest niemożliwe, możliwem jest drugie; a byłoby błędnem wnioskowanie, że normę tę można stosować do obu wypadków. Zdaje się, że pardwa w hrabstwie Yorkshire zaczęła nabywać właściwości leśnych gołębi już z początkiem dziewiętnastego stulecia, gdyż pułkownik Hawker, ten potężny łowiec drobnej zwierzyny, osądził ją jako szczególnie dziką i wrocił do domu, do swej posiadłości w Hampshire, bardzo zniechęcony do tych łowów.

Było to przy otwarciu sezonu, lecz inny pułkownik, Thornton, już na jakiś czas przedtem uznał, że największą trudność w ubiciu pardwy w okolicy Speyside stanowiła okoliczność, że nie można jej było przymusić do zerwania się z łąki w październiku.

Pardwa w hrabstwie Yorkshire wyprzedziła co najmniej o pół wieku górskie ptaki w przyswojeniu sobie wad i postępuje stale w tym kierunku.

Z tego powodu jeśli chcesz polować na pardwy w górach, musisz czekać, dopóki ptaki nie staną się dostatecznie dzikie, a nie dzieje się to jeszcze w czternaście dni po otwarciu sezonu.

W hrabstwie Yorkshire natomiast i w terenach granicznych, po obu bokach rzeki Tweed, pardwy zaznaczają się postępem i są już dość dzikie dla łowów już około 12. sierpnia.

Myśliwi nie siedzą bezczynnie i nie wyczekują zdziczenia pardwy od 12. do 26. sierpnia; konsekwentnie natomiast psy były zawsze bardzo użyteczne i nadające się do łowów w górach przez pierwszych 14 dni roku. Sprzedaże zawarte w Aldridge, w czerwcu i lipcu przez ubiegłych 20 lat są corocznym dowodem popytu za psami, nadającymi się do polowań na błotach a „the run on field trial blood“ nigdy się przy tych sprzedażach tak nie zaznaczył, jak w tym sezonie. Poszukiwane są „broken, second-season dogs“ i kupujący działają roztropnie, gdyż z wyjątkiem rewirów, sprzyjających łowom z psami, sprzeciwia się ekonomice płacić wysokie czynsze dzierżawne za błota w tym celu, by uczynić pardwy dzikiemi przez poprzednie zaprawianie psów. Najpraktyczniej jest wynająć sforę psów doskonale ułożonych i człowieka, albo więcej ludzi, by nimi pracowali.

Najem taki jest lepszy, niż kupno nawet wprawionych psów, gdyż zmiana właściciela sprowadza często różnice i konieczność odstąpienia niekiedy od przyjętej normy w wyszukaniu pardwy i w daniu posłuchu nowemu głosowi. Dla wspomnianego autora, pierwszy występ młodego psiaka wobec pardwy stanowi większą przyjemność, niż samo polowanie.

Nie jest to atoli przyjemnością dla łowca, dla niego bowiem rozstrzyga fakt, czy ma czem napełnić torbę — czy też nie.

Lecz idealne polowanie nie jest z psami ułożonymi, rozumiejącymi każde skinienie, lecz z psami młodymi. Dla tej to przyczyny zachwycam się młodym psiakiem, pierwszy raz wychodzącym na pardwy.

Jest on wtedy rzeczywiście psem, nie zaś starym wygą, który tylko po części jest psem, w drugiej części zaś zbiorem nawyczek swych panów, z któremi będzie się musiał właściciel liczyć, jakkolwiek nie może wiedzieć, jakie metody i jakie wady ludzkie wpłynęły na ujemne właściwości u psa.

Zaprawianie młodych psów uważają zwykle za nudne zajęcie. Jest ono takiem rzeczywiście i to w wysokim stopniu, gdy młode psy nabyły już złych nawyczek, jeżeli jednak mamy dorosłego psiaka z jego wrodzonymi instynktami, to zachwycającem jest kierować budzącą się w nim myślą.

Co więcej, jeżeli wychowawca w kierownictwie tem nie popełnia błędów, jest bardzo prawdopodobnem, że od chwili, gdy pies zwietrzy pardwę, może spodziewać się odeń wydatniejszej pracy, niż od starych, pełnej krwi praktyków, co przerobili kilka sezonów.

Przy psach wprawionych, które prawie myśli czytają, polowanie na pardwy nigdy nie spowszednieje. Młodzi nie starzeją się nigdy w usposobieniu; zapominają o sobie i troskach miejskiego życia, widząc psy ślizgające się po torfiastych bagnach, suwające się po błotach.

Zawsze jakiś nowy szczegół zajmie uwagę; jakiś nowy rys usposobienia lub sprytu u starego wyjadacza, wzrastająca energia, lub siła muskularna u młodego psa, a wszystko zadziwia. Młode psy, które 12. sierpnia zostały wyprowadzone i tłumiły się po torfowiskach i bagnach, nie troszcząc się o nic, przyuczają się w kilku dniach i idą tak ochoczo i prawie tak szybko, jak greyhoundy. Stają się czujne na najlżejszy wiatr i nie popełniają błędów na zdradliwym gruncie.

Obecnie głównem zadaniem jest, by dawały posłuch świstawce, gdyż w gwałtownej żarliwości mogą się zapędzić poza rejon słyszenia, a nawet przejść milę poza granicę.

Lecz w tym wypadku należy posłać chłopaka po psa i kazać mu, gdy go odnajdzie wystawiającego ptaka — włożyć mu na szyję obrożę i przyciągnąć go napowrót do myśliwego.

Nie należy polować w liczniejszych partyach, jak po dwóch, jeżeli więc więcej myśliwych znajduje się w pewnym rewirze, mają się podzielić na dwójki, a każda winna mieć osobną złaję psów i człowieka do niej. Z jakiej liczby psów ma się złaja składać, będzie to zależnem od myśliwych a w znacznej części od psów.

Krewcy zużywają dziennie mniej godzin, niż flegmatycy, lecz wtedy polowanie z jednym psem utrzymuje myśliwego młodym, podczas gdy strzelanie z więcej psami, jakkolwiek wystawiają i cofają się, każe myśliwcowi rozważać nad niedoskonałością tego świata i znudzi go, nim się zmęczy! Trzy pary mocnych, wytrzymałych, pełnych ognia psów stanowią dostateczną złaję psów dla myśliwego na dzień; jeżeli jednak strzela co dzień, musi podwoić liczbę i pozwolić wypocząć psom, co drugi dzień. Są dobrzy i źli strzelcy, a różnica między nimi zachodzi taka, jaka między cricketem damy pałacowej a jedenastoletniego chłopaka szkolnego.

Jakkolwiek jednak jest wielka różnica między strzelcami, to daleko większa zachodzi między psami i to choć wszystkie są znakomicie wprawione. Niektóre z nich i to nie nadzwyczajnie dobre, mogą być użyte 2 razy dziennie po półtora godziny, a przy końcu są tak świeże, jak były przy rozpoczęciu pracy: inne są rzeźkie przez dwadzieścia minut a zawsze powolne i są już po godzinie znużone. Lecz istnieją jeszcze daleko większe różnice.

Są psy, które są zbyt zapalone, by mogły wystawiać, zanim się nie znużą i naodwrót później zbyt znużone, by mogły wystawiać zwierzynę. Za takie psy niejeden zapłacił wysoką cenę, a potem spróbowawszy „high ranging dogs“ przeszedł do nagonki.

Polowanie na grausy z psami, to wielki sport a wymaga wytrwałego marszu, dobrego rewiru i łowieckiego strzelania, nawet gdy myśliwy nie ma wiatru i gdy zapada w grząskim terenie.

Kto spełni swe zadanie w tych okolicznościach, może utrzymywać, że zajęcie się psami nie wymaga przymiotu nader dobrego strzelca.

Kto postępuje regularnie w ten sposób, może iść wszędzie i robić wszystko, a zasługuje na wydatną pracę psów, które jeżeli są świeże, pracę tę wykonują. To jest prawdziwe świadectwo dobrego układania psów.



Z obcych światów.

Polowanie z tresowanym lampartem w Barodzie.

(Z angielskiego).

Około pięćdziesięciu gości zgromadziło się w Barodzie na zaproszenie Jego wysokości Gaekwara, by uczestniczyć w uroczystościach, urządzonych z okazyi wesela jego syna, księcia Fateha Singha Rao.

Gości pomieszczono w pięknym obozie, rozbitym na gruntach uniwersytetu.

Wszystko było urządzone wspaniale pod zdolnem kierownictwem Mr. Grahama Lynn i Mr. Hardinga.

Parokonny pojazd przeznaczono dla każdego namiotu, ponadto zaś były dwa automobile dla towarzystwa. W program uroczystości wchodziły także łowy z lampartem (cheetah'em).

Łowy z lampartem, to sport wyłącznie uprawiany w Barodzie, sport w którym mało nawet najstarszych mieszkańców Indyi miało szczęście uczestniczyć. Goście wyruszyli zaraz po szóstej godzinie rano, podczas gdy było jeszcze ciemno i stanowczo zimno, udając się do pałacu Makarpura, odległego pięć mil od obozu. Tu oczekiwały już dwukołowe wózki, zaprzężone w kucyki (ponies), by powieźć panie — wierzchowce zaś oczekiwały panów.

Udano się gościńcem do Daniawi Bid, odległego o trzy mile, gdzie oczekiwał już wehikuł z zakapturzonym lam-

partem. Starszy już człowiek powoził, siedząc u przodu wehikułu; mały chłopak zaś dozorował lamparta i zdejmował mu z głowy kaptur, gdy zdobycz okazała się w dostępnem oddaleniu.

Zwierzę zdaje się być bardzo przywiązane do chłopaka i prycha, jak kot, gdy go chłopak podrapie po łbie; mruczy jednak na każdego innego.

Sądzę, że chłopak ten jest jedyną istotą, która może napowrót przywołać lamparta, gdy mu się wyścig nie powiedzie i on tylko może mu odebrać zdobycz.

Automobile i konie zostawiliśmy tutaj, tylko dwa dwukołowe wózki, zaprzężone w woły, powiozły dalej panie.

Daniawi Bid jest jednym z najlepszych rewirów Gaekwara, obfitujących w czarne kozły, a wielkie gromady tych zwierząt, któreśmy ujrzeli, dowiodły, że rewir ten ma słusznie ustaloną reputacyę.

Teren jestto dżungla, której trawa po największej części została przez pożar wypalona.

Przeszkodą były w niektórych miejscach drzewa, nie dozwalające śledzić okiem całego biegu.

Dystyngowanemu cywilnemu dostojnikowi z Bombaju wyznaczono miejsce zaszczytne na wehikule lamparta, tuż obok woźnicy. Pozycya ta była cokolwiek niewygodna, raz dla nierówności terenu, po drugie z tego względu, że lampart kilkakrotnie zrzucił z głowy sąsiadowi uderzeniem długiego, ciężkiego ogona, kapelusz o szerokich kresach. Mimo to, był nadzwyczaj zadowolony, będąc jednym z pierwszych, którzy ujrzeli lamparta, ubijającego kozła.

Przy następującym wypadzie lampart spudłował i zaprzestał pościgu po gonie dwustujardowym. Chłopak zwabił go i pozbawionego tchu umieścił na wehikule.

To pozbawiło lamparta humoru, tak, że następnie gdy mu zdjęto kaptur, i jakkolwiek zdobycz znajdowała się wcale niedaleko, po dwakroć odmówił posłuszeństwa.

Godziny mijały — było już blisko pół do jedynastej przed południem — słońce zaczynało palić, a myśmy prawie stracili nadzieję ujrzenia powtórnego, pomyślnego wypadu.

Nagle ujrzeliśmy tęgiego kozła, którego po rozpaczliwym biegu, już już mającego umknąć, dopadł lampart.

Ten wielki felid, zaciskający zdobycz, przedstawił nam wspaniały widok, widok, który można ujrzeć zaledwie raz w życiu. Jedna z moich fotografii utrwaliła grupę: lamparta, który przewaliwszy kozła na grzbiet, trzyma go za gardło, podczas gdy chłopak usiłuje go udobruchać, a drugi z ludzi trzymając kozła za tylne nogi, nawołuje o nóż, by mu przeciąć gardło.

Inne zdjęcie wykonałem tuż po przecięciu kozłów gardła. Lampart pije krew, podczas gdy stary woźnica podtrzymuje głowę kozła. Krew tę pozwolono pić lampartowi bez przeszkody przez kilka minut, a następnie sprowadzono go napowrót na wehikuł, używszy jako przynęty, biodra wyciętego z kozła.

Do miejsca, gdzie zostały konie, było już niedaleko, to też uznaliśmy łowy za ukończone.

Goście przybyli do pałacu Makarpura około południa, gdzie zastawiono wspaniałe śniadanie w teatrze, zbudowanym na pięknych gruntach obok pałacu. Wygłodniałe towarzystwo załatwiło się szybko z ucztą, poczem udano się po tym, pełnym wrażeń poranku, do obozu. Ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że poznany przez nas lampart, to ostatni przedstawiciel trenowanych do łowów zwierząt i że ten piękny, stary sport grozi wygaśnięciem. Słyszałem, że tresują młodego lamparta. Popołudniu odbyło się przedstawienie sportów wojskowych na terenie Warasha, gdzie odbywają się parady.

Nazajutrz popołudniu odbyło się przedstawienie na arenie, w skład którego wchodziły walki bawołów, baranów i słoni. Te ostatnie nie były bardzo wojowniczo usposobione — przeciwnie było z bawołami i baranami.

Uroczystości zakończyły się wspaniałym bankietem w „Luxmi Vilas Palace“. W bankiecie tym uczestniczyło przeszło sto gości, między którymi był sławny Ranji; takaż ilość gości była na wizycie u Gaekwara. Jego Wysokość przemawiał kilkakrotnie bardzo lojalnie i biegle po angielsku. Goście opuścili Barodę następnego dnia, po mile spędzonym pobycie, który mają zawdzięczyć książęcej gościnności cywilizowanego rządcy tego wzorowego państwa.

Z WYPRAWY POLARNEJ
OTTONA SVERDRUPA
(1898—1902)

OBRAZKI MYŚLIWSKIE.

II.

W walce z wołami piżmowymi.

(Ciąg dalszy).

Było to pierwszego maja 1901. Wybraliśmy się we dwóch, powiada Bauman, ze Stolzem sankami, by zdjąć mapę z fjordów na zachodniem wybrzeżu kraju króla Oskara.

Było już koło godz. 4 po południu, gdy, zważywszy, żeśmy już w tym dniu około 20 mil morskich ujechali, postanowiłem przerwać podróż. Ponieważ jednak znajdowaliśmy się na pysznym terenie myśliwskim, wyjechałem na grzbiet stromego urwiska, by okolicę dokładnie za pomocą lunety zbadać. Na jakie 2 kilometry od nas, ujrzałem na gołej piaszczystej wydmie stojące 3 reny, a dalej za nimi w podwójnej odległości od nas, spostrzegłem 4 woły piżmowe. Zjechaliśmy tedy zaraz w dolinę i szybko zdecydowaliśmy się na następujący plan:

Chciałem najpierw próbować podkradać się pod reny, lecz teren był tak otwarty, że niepodobieństwem było w ten sposób dojść do jakiegoś rezultatu. Umówiliśmy się w końcu, że gdy reny zaczną uciekać, ja dam strzał z któregoś z pagórków, jako sygnał, na który mój towarzysz przyjdzie do mnie z najlepszymi trzema psami: „Żółtym“, Mojżeszem“ i panią „Hering“ a wtedy wspólnie wydamy walkę bykom.

Stało się tak, jak przewidywałem, reny umknęły zaraz i były już za dziesiątą górą, zanim zdołałem zbliżyć się do miejsca, w którem były widziane. Wtedy wypaliłem w powietrze i czekałem, czy nie usłyszę szczekania psów na dowód, że echo mego strzału doszło do uszu kolegi. Wkrótce ujrzałem go idącego z psami, wstrzymałem więc moje kroki, by mnie prędko dogonił, ale on uznał widocznie, że mu droga za daleka, gdyż puściwszy psy ku mnie, zawrócił do obozu. Psy były teraz dobry kawałek przedemną, trochę na prawo. Ciągle wietrzyły i okazywały niepokój, czemu się nie dziwiłem, widząc wszędzie na śniegu świeże ślady byków. Teren zaczynał być tutaj już więcej pagórkowaty, mniej przejrzysty i z tego przekonałem się, że jestem już niedaleko miejsca, na którem początkowo cztery byki ujrzałem. Z tego powodu patrzyłem wciąż

przed siebie i śledziłem z uwagą przestrzeń, ale żadnej żywej istoty nie mogłem spostrzedz prócz psów, które już o jaki kilometr mnie wyprzedziły. Po drodze zajrzałem na dół z urwiska, które się koło mnie znajdowało... i na widok tego, co w dolinie ujrzałem, wstrząsnął mną dreszcz roskoszy!

Nie cztery byki ale całe ogromne stado, złożone mniej więcej ze sztuk 30-stu, leżało w nieładzie na śniegu!

Mój towarzysz nie mógł być jeszcze odemnie daleko, dlatego strzeliłem, by go zawrócić. Strzał był dość głuchy i nie odbił się kilkakrotnem echem w tej otwartej przestrzeni, jednakowoż był dość głośnym niestety, by całe stado zaalarmować, a zresztą był bezcelowym, gdyż mój towarzysz nie przybywał.

Najmniej trudu i czasu kosztowałoby mnie, myślałem sobie, wprost iść na stado stojących teraz i czujnie rozglądających się zwierząt i jedno z nich upolować. Może zwabię tem i psy do siebie a reszta stada pójdzie spokojnie swoją drogą, by wkrótce znów uronić dla nas z siebie cząstkę na zdobycz. Jak pomyślałem, tak i zrobić chciałem, ale nim uszedłem kilka kroków, już całe stado rzuciło się w przeciwną stronę, wydrapało się na ubocz stromego pagórka. Tu miały byki dobre stanowisko obronne, ale ponieważ za nimi teren ciągle jeszcze tarasami się wznosił, nie było wykluczonem, że zechcą jeszcze wyżej, aż do szczytu góry się dostać. Wobec tych warunków, było mi wskazanem jak najprędzej niewidzialnie dla byków dolinę okrążyć i na miejsce oznaczone, jak najprędzej dobiedz. Po drodze przywabiłem psy, które dostawszy się na właściwy trop, odemnie pomknęły i wkrótce doszedłem do szczytu pagórka, skąd ujrzałem stado ciągle w tem samem miejscu jeszcze stojące i uważnie patrzące w stronę, w której się przedtem znajdowałem. Tu już nie było mowy o żadnej kryjówce, znajdowałem się o 100 metrów od zwierząt, gdy mnie nagle ujrzały. Wtedy wypadki przybrały tak szybkie tempo, że ledwie mogłem myślą je chwytać — daleko prędzej się to wszystko działo, niżbym był w stanie opowiedzieć!

Jak powiedziałem, byki nagle mnie zobaczyły; zwróciły się wtedy na miejscu i całym pędem ruszyły ku mnie.

Widziałem przed sobą pędzące na mnie stado, tak w kupie zbite, że rogi zwierząt tworzyły jedną nieprzerwaną, ruchomą białą linię. Z głowami spuszczonemi do ziemi, wśród tententu racic po kamienistej ziemi, buchając kłębami pary z nozdrzy, z jakimś dzikim, strasznym, nieuchwytnym zgrzytem, szła ta czarna zgraja na mnie... czułem ziejące od niej tchnienie śmierci!...

Rzuciłem okiem za siebie i przekonałem się, że o ucieczce nie ma tu mowy. Nim dobiegłbym do jakiejkolwiek kryjówki, byłbym był już dawno roztratowanym lub rozniesionym na rogach rozszalałych potworów. Tu trzeba było nie uciekać, ale się bronić. Uchwyciłem karabin, padł strzał... linia atakujących się załamała i jedno zwierzę runęło na ziemię! Ale luka ta zapełniła się zaraz i stado z tem większą zapalczywością pędziło na mnie... Dalej strzelać i później bronić się wystrzelonym karabinem, byłoby szaleństwem. Zresztą miałem tylko dwie kule jeszcze do rozporządzenia. Kto miał kiedy z polarnymi bykami do czynienia, ten wie, że zabić na miejscu dwa z nich dwiema kulami, w chwili, gdy szarżują, należy do niesłychanego szczęścia. I choćby zresztą powiodły mi się takie dwa mistrzowskie strzały, czyby to co pomogło w mej strasznej sytuacyi? Z pewnością nie! Tu trzeba było zrobić jakiś krok stanowczy, i albo ocaleć, albo zginąć. Z ogromnym krzykiem, wymachując rękami i bronią, rzuciłem się sam ku nadbiegającym tuż, tuż bestyom!... Manewr mój się udał! Szereg się złamał, zrobiła się przedemną luka, w której się wkrótce sam znalazłem! Zwierzęta najbliższe były nie dalej, jak o metr odemnie z obu stron. Szereg mnie minął a ja uciekałem teraz w bok, ku urwisku, co miałem sił. Nie zrobiłem jednak ani połowy potrzebnej do ocalenia drogi, gdy szereg bawołów jakby na komendę zawrócił i znowu walił na mnie z całym impetem! I znowu ten sam manewr z mojej strony — i znowu ta szczęśliwa dla mnie tworzy się luka, którą się od śmierci wyślizguję, i znowu kilkadziesiąt kroków ucieczki ku urwisku. Szereg zwierząt znowu się zwraca i atakuje! Ale teraz rzecz przedstawia się gorzej! Szereg łamie się i tworzą się partye, które, każda z osobna i z innej strony na mnie wali!...

Teraz było mi jasnem, że dla mnie ratunku już nie ma, z wszystkich sił uciekałem ku urwisku, starając się wymijać pojedyncze partye, które już tuż, tuż na mnie gnały. Już myślałem, że wszystko stracone, gdy wtem przybyła mi pomoc, której się już dawno spodziewałem. Jak burza wpadł „Mojżesz“ między rozszalałe byki, które całą wściekłość ku niemu zwróciły. Wkrótce zobaczyłem biednego psa wyrzuconego rogami, nad bykami w górze — ale nic mu się nie stało!... Upadł na to, by tem prędzej się zerwać i z podwójną zaciekłością między byki się rzucić. Teraz wpadły, „Żółty“ i „Pani Hering“ każdy z innej strony i z głośnem szczekaniem rzuciły się w stado!

Tymczasem dopadłem urwiska i byłem względnie ocalonym. Starałem się teraz zwołać psy, ale to mi się nie udawało, one zresztą słyszeć mnie nie mogły. Byłem teraz niemym i spokojniejszym już widzem tego, co się przedemną na płaszczyźnie działo. Widok był wspaniały i straszny zarazem! W grupach po kilka, na wszystkie strony, jakby po jakiejś wielkiej arenie biegały rozszalałe potwory, ryjąc rogami ziemię i wyrzucając z nozdrzy kłęby pary! A w tem piekle trzy dzielne psy to atakowały, to uciekały, jak jacyś zwinni i niesłychanie odważni, gardzący życiem gladiatorzy!... Co chwila któryś pies wylatywał wyrzucony rogami, skomląc, w powietrze, upadał na ziemię, zrywał się i tem zajadlej się rzucał.

Gdybym był miał więcej amunicyi, możebym był próbował z mego stanowiska ostrzeliwać stado, ale w podobnych warunkach, każdy strzał, każdy niepotrzebnie zabity byk lub niedźwiedź jest zbrodnią, gdy od spotykania tych zwierząt i zapasów ich mięsa życie nasze i naszych psów zawisło.

Udałem się więc co prędzej do naszego namiotu, gdzie stanąłem o 11 w nocy i zły i zdenerwowany wlazłem w mój futrzany worek.

Na drugi dzień wyruszyliśmy zaraz z pozostałymi psami ku miejscu wczorajszych wypadków. Stało tam już tylko dziewięć byków a przed nimi leżał „Żółty“ trzymając straż, gdy „Mojżesz“ i „Pani Hering“ odpoczywały przed zabitem wczoraj przezemnie zwierzęciem.

Gdyśmy się tylko na płaszczyźnie znaleźli, zaczęła się gonitwa podobna wczorajszej, na nowo. Nie było innej rady, jak wszystkie byki wystrzelać. Otworzyliśmy więc do nich z dwóch luf ogień, który trwał tak długo, póki ostatni byk goniąc zaciekle psy, nie runął między drgające w agonii ciała swych towarzyszów. (C. d. n)

